

Portugalczyk przystanął. Vasco musiał mocno kochać Gaspara, a jednak nie zdołał ocalić od zagłady jego żydowskich ziomków w Portugalii, chociaż obaj byli tak potężnymi osobami na lizbońskim dworze. Żyd oddał Portugalii takie zasługi, a jednak doszło do pogromów. Admirał płakać mógł z tego powodu, że jego przyjaciel i przysposobiony syn zawiódł się na nowej ojczyźnie, zawiódł się na królu i na nim.

Baltazar wszedł do „Jodłowej Gospody”, która może i kiedyś stała pod jakąś jodłą, ale dzisiaj nie było tu po drzewie choćby pieńka. Teraz jedynym, który mógł rozstrzygnąć sprawę Gaspara da Gamy, był Álvaro Castanheda.

Nie pomylił się. Castanheda siedział na taborecie z kielichem z grawerowanego mosiądzu. Nie zważał już na opary i zaduch karczmy, gdyż w czarce miał żytnią starkę. Od czasu przyjazdu do Poznania bardzo się z nią zżył.

- Dom Álvaro, już czas. - Rycerz położył mu dłoń na ramieniu, mając świadomość, że znów będzie musiał zmagać się ze skutkami, jakie wódka wywoływała u jego towarzysza. Wiedział jednak, że jeśli teraz przerwie jego picie, dawny żeglarz Vasco da Gamy zdoła wyjść z karczmy jeszcze o własnych siłach.

Spodziewał się oporu, tym bardziej zdumiało go, że towarzysz podniósł się ze stołka i przyznał:

- Tak. Nadeszła właściwa pora - odrzekł. - Chodźmy, Dom Baltazarze - dodał i chwiejnym krokiem ruszył ku drzwiom karczmy.

- Dopominam się waszej pomocy. Bez niej nie rozwikłamy sprawy Gaspara da Gamy - westchnął, pomagając Castanhedzie. Okazało się to jednak zbyt słabe, Álvaro nie zdążył wypić tyle, by potrzebować eskorty czy ramienia.

- Rozwikłamy, rozwikłamy. Nie ma już sensu zwlekać z tym rozwiązaniem - odrzekł pewnym głosem, aż Baltazar spojrział na niego, czy aby nie bredzi.



Ze zbyt wielu bitew Zeno wyszedł cało, zbyt często jego życie zależało od szybkości, sprytu i właściwej oceny sytuacji, by nie wiedzieć, że należy uprzedzić ruch napastnika, którego się zawczasu dostrzegło. Niejeden raz przejrzenie przeciwnika ocaliło mu skórę. Dzięki tym cechom uszedł cało z azteckiej rzezi podczas Smutnej Nocy w Tenochtitlán i wiele razy później. To w tym wielkim indiańskim mieście nauczył się mieć baczenie na to, co kryć się może za rogiem, i odtąd zawsze gdy znajdował się wśród uliczek, uważnie się rozglądał.

Było jednak coś, co wśród miejskich domostw i ulic widoczne było znacznie wyraźniej niż na otwartym polu bitwy - cienie. Zeno wpastrywał się dyskretnie w odbicie ludzkiej sylwetki, które rozłożyło się na nierównej, podobnej raczej do gumna ulicy. Cień zdradzał przyczajonego napastnika, zdradzał też, że był on uzbrojony.

Chwałac więc wiatr, który rozgonił deszczowe chmury i pozwolił wyrzec słońcu, Lorenzo dobył szabli i natarł pierwszy. Zyskał na zaskoczeniu. Trzasnęło żelazo, w które uderzył. Omal nie wytrącił go z rąk skrytobójcy, lecz ten zdołał je utrzymać. Ponadto miękkiem, kocim ruchem obrócił się przez lewe ramię, przerzucając swoją broń do drugiej ręki. Zeno nie dostrzegł twarzy, ale poznał, że ma do czynienia z przeciwnikiem mniejszym od siebie i zapewne znacznie młodszym, bo sylwetka robiła wrażenie jeszcze młodzieńczej.